

Dzień,
w którym
odeszłaś

LUNA VELEVITKA

Rebelle ♡

WYDAWNICTWO

Copyright © for the text by Luna Velevitka
Copyright © for this edition by Wydawnictwo Rebelde
Leszno 2026

All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja i korekta językowa:
Justyna Szymkiewicz

Korekta po składzie:
Jolanta Szalak, Kamila Polańska

Projekt okładki i oprawa graficzna:
Justyna Knapik @hermetycznie_zamkniete

Skład, łamanie i przygotowanie ebooka:
Michał Bogdański

Wydanie I

ISBN: 978-83-68916-38-6


WYDAWNICTWO

Dzień,
w którym
odeszłaś

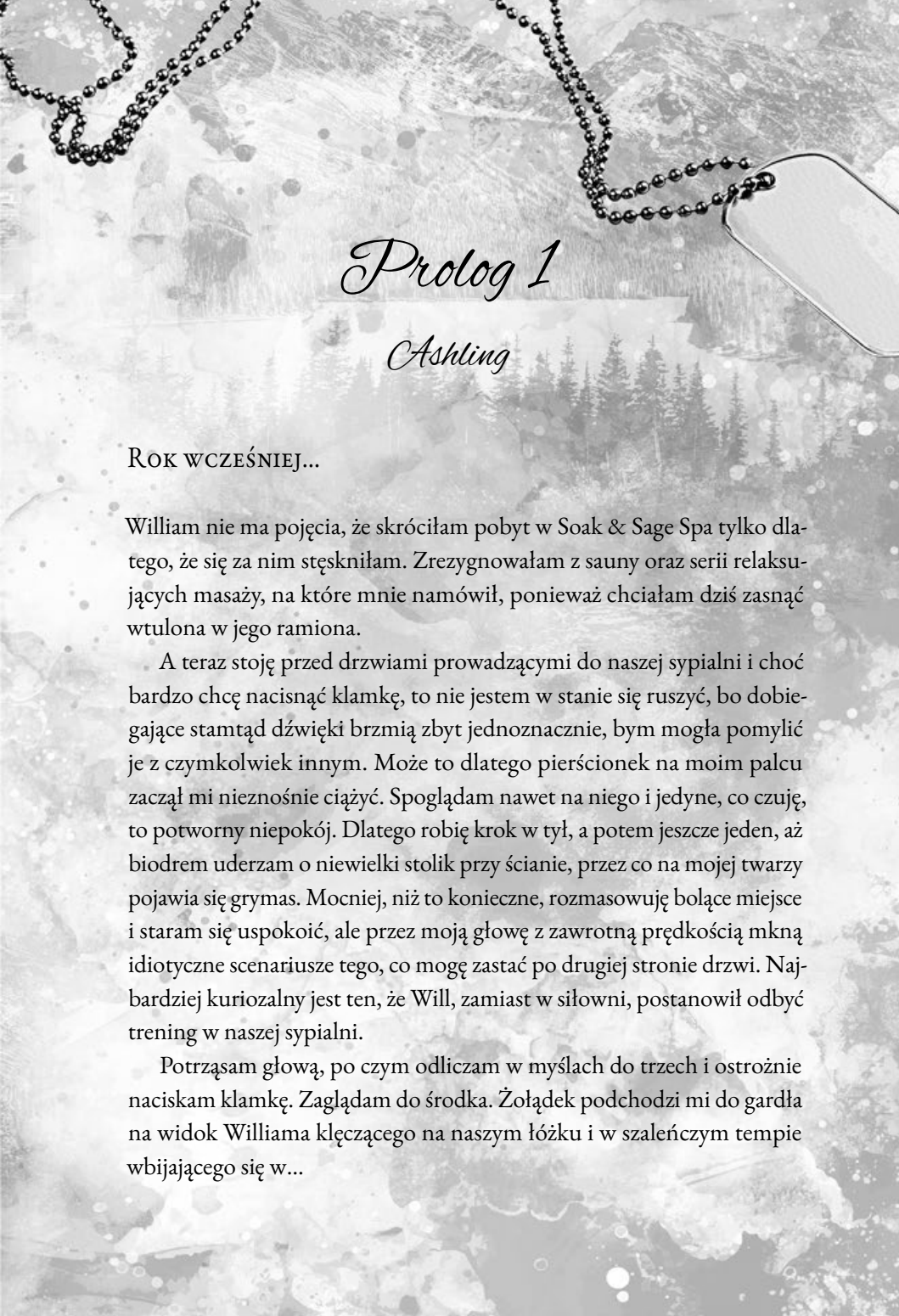
LUNA VELEVITKA

Rebelle ♡
WYDAWNICTWO



*Dla serc,
które mimo krętych dróg dotarły tam,
gdzie powinny.*





Prolog 1

Ashling

ROK WCZEŚNIEJ...

William nie ma pojęcia, że skróciłam pobyt w Soak & Sage Spa tylko dlatego, że się za nim stęskniłam. Zrezygnowałam z sauny oraz serii relaksujących masażów, na które mnie namówił, ponieważ chciałam dziś zasnąć wtulona w jego ramiona.

A teraz stoję przed drzwiami prowadzącymi do naszej sypialni i choć bardzo chcę nacisnąć klamkę, to nie jestem w stanie się ruszyć, bo dobiegające stamtąd dźwięki brzmią zbyt jednoznacznie, bym mogła pomylić je z czymkolwiek innym. Może to dlatego pierścienek na moim palcu zaczął mi nieznośnie ciążyć. Spoglądam nawet na niego i jedyne, co czuję, to potworny niepokój. Dlatego robię krok w tył, a potem jeszcze jeden, aż biodrem uderzam o niewielki stolik przy ścianie, przez co na mojej twarzy pojawia się grymas. Mocniej, niż to konieczne, rozmasowuję bolące miejsce i staram się uspokoić, ale przez moją głowę z zawrotną prędkością mkną idiotyczne scenariusze tego, co mogę zastać po drugiej stronie drzwi. Najbardziej kuriozalny jest ten, że Will, zamiast w siłowni, postanowił odbyć trening w naszej sypialni.

Potrząsam głową, po czym odliczam w myślach do trzech i ostrożnie naciskam klamkę. Zaglądam do środka. Żołądek podchodzi mi do gardła na widok Williama kłęzącego na naszym łóżku i w szaleńczym tempie wbijającego się w...

Mrugam kilkakrotnie z nadzieją, że widok przede mną zaraz się rozmyje.

– Alice... – szepczę zdławionym głosem, gdy dociera do mnie, że mój narzeczony właśnie pieprzy się z moją siostrą bliźniaczką.

To właśnie on dostrzega mnie jako pierwszy. Jego oczy w jednej chwili stają się wielgachne jak spodki, a wszystkie mięśnie napinają mu się niczym struna. Pospiesznie wysuwa się z mojej siostry i niezdarnie zeskakuje z łóżka, po czym w popłochu szuka czegoś, czym mógłby zakryć swojego wciąż sterczącego penisa.

To się nie dzieje...

– Kochanie, ja... Cholera... – Zgarnia z podłogi spodnie, wciąga je na siebie, podskakując to na jednej, to na drugiej nodze, by utrzymać równowagę. W innych okolicznościach pewnie uznałabym to za zabawne. – Miałś być w spa... – rzuca oskarżycielsko, a sekundę później, gdy najwyraźniej dociera do niego, jak beznadziejnie zabrzmiał, krzywi się i pociera dłonią twarz.

– Siostra... – Alice odzywa się w końcu głosem przypominającym pomruk kota i leniwie przeciąga się w pościeli, którą sama wybrałam. – Wybacz, tak jakoś wyszło. – Jej tłumaczenie nie ma w sobie nawet nutki żalu, wręcz przeciwnie.

Przez chwilę przyglądam się im w milczeniu. Chyba potrzebuję kilku sekund, by dotarło do mnie, że to, na co patrzę, to nie wytwór mojej wyobraźni, a pieprzona rzeczywistość. Układam w głowie, co powinnam powiedzieć, ale żadne słowa, które przychodzą mi na myśl, nie odzwierciedlają tego, co właśnie czuję. Robi mi się duszno.

– Nie... Nie przeszkadzajcie sobie – oznajmiam, unosząc wyżej podbródek, a potem się wycofuję i korytarzem ruszam prosto do wyjścia.

Słyszę za sobą ciężkie kroki Williama, który najwidoczniej otrząsnął się już z szoku i postanowił, że czas na wyjaśnienia. Chwilę później czuję na nadgarstku palce. Zaciskają się delikatnie, jakby nie był pewny, czy ma jeszcze prawo mnie dotykać.

– Ash! To... To wszystko tak szybko się potoczyło, ja... ja tego nie planowałem.

Chciałam po prostu wyjść, ale jego słowa powodują, że odwracam się i spoglądam mu w oczy. Tli się w nich nadzieja, bo przecież głupiotka Ash zawsze wierzy w każde jego słowo i teraz przecież nie może być inaczej.

– Och, co za ulga... – oświadczam z ironią. – Już się bałam, że zrobiłeś to z premedytacją.

Wyrywam się z uścisku i wciąż na niego patrząc, ściągam z palca pierścionek zaręczynowy. Will cały tężeje, gdy spogląda na moją wyciągniętą ku niemu dłoń.

Chryste, czy on sądzi, że po tym, co zobaczyłam, ciągle chcę za niego wyjść?

– Ashling... – Przełyka ciężko. W tym jednym słowie wyczuwam prawdziwą panikę.

Drzwi sypialni otwierają się i kątem oka zauważam za nimi ruch. Jednak ja i Will wciąż patrzymy uparcie na siebie.

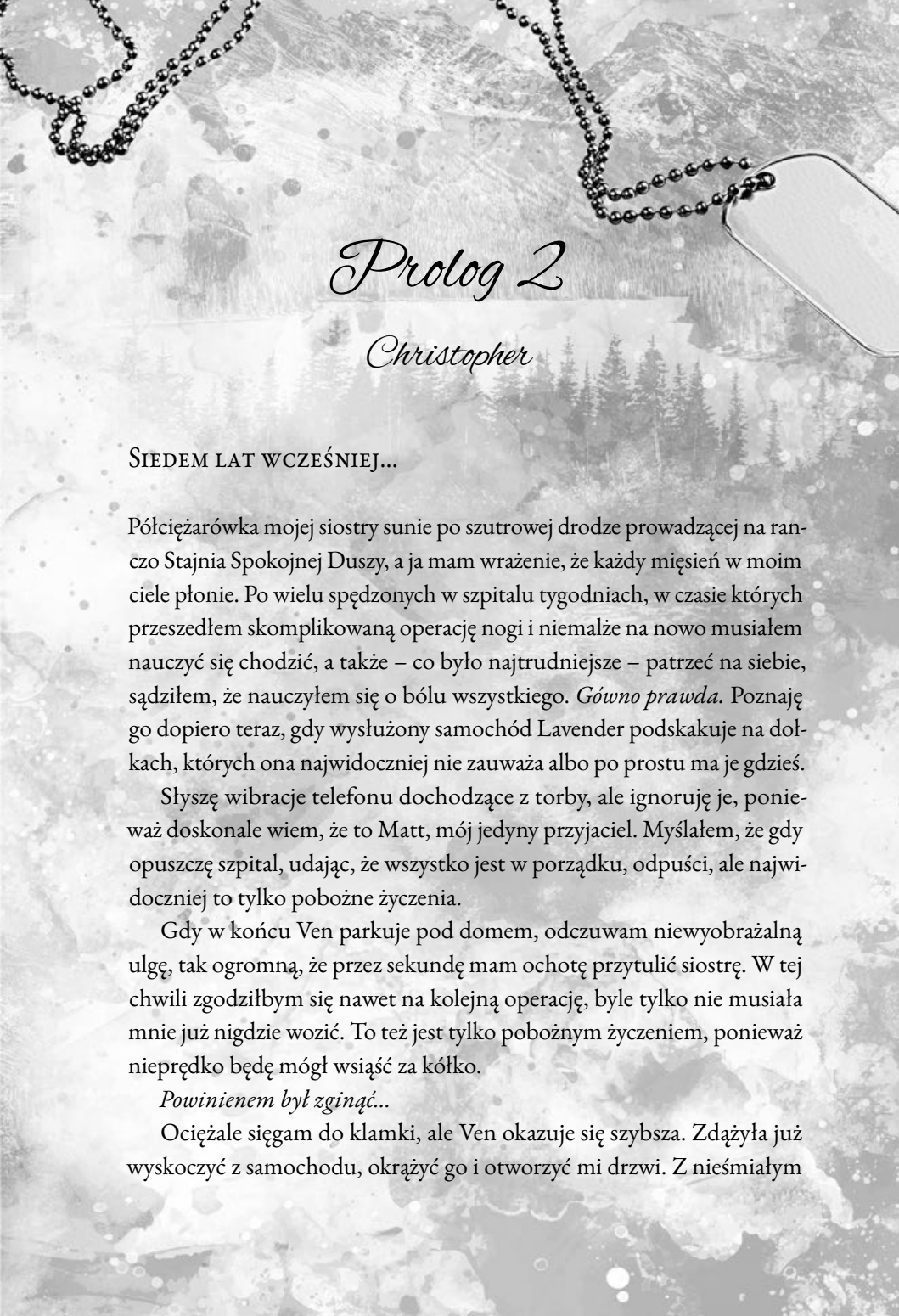
– To koniec. – Wkładam mu w dłoń pierścionek. – Za kilka dni wrócę po rzeczy.

– Ash... – szepcze spanikowany, a ja zabieram walizkę, którą miałam ze sobą w spa, i wychodzę.

Z każdym krokiem coraz trudniej jest mi powstrzymać płacz. Cztery wspólnie spędzone lata właśnie stały się zamkniętym rozdziałem.

Spoglądam w chmury i moje oczy wypełniają się łzami. Gdyby Lulu żyła, byłoby mi łatwiej.

– Nie mogę uwierzyć, że mi to zrobili, babciu...



Prolog 2

Christopher

SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ...

Półciężarówka mojej siostry sunie po szutrowej drodze prowadzącej na rancho Stajnia Spokojnej Duszy, a ja mam wrażenie, że każdy miesiąc w moim ciele płonie. Po wielu spędzonych w szpitalu tygodniach, w czasie których przeszedłem skomplikowaną operację nogi i niemalże na nowo musiałem nauczyć się chodzić, a także – co było najtrudniejsze – patrzeć na siebie, sądziłem, że nauczyłem się o bólu wszystkiego. *Gówno prawda*. Poznaję go dopiero teraz, gdy wysłużony samochód Lavender podskakuje na dołkach, których ona najwidoczniej nie zauważa albo po prostu ma je gdzieś.

Słyszę wibracje telefonu dochodzące z torby, ale ignoruję je, ponieważ doskonale wiem, że to Matt, mój jedyny przyjaciel. Myślałem, że gdy opuszczę szpital, udając, że wszystko jest w porządku, odpuści, ale najwidoczniej to tylko pobożne życzenia.

Gdy w końcu Ven parkuje pod domem, odczuwam niewyobrażalną ulgę, tak ogromną, że przez sekundę mam ochotę przytulić siostrę. W tej chwili zgodziłbym się nawet na kolejną operację, byle tylko nie musiała mnie już nigdzie wozić. To też jest tylko pobożnym życzeniem, ponieważ nieprędko będę mógł wsiąść za kółko.

Powinienem był zginąć...

Ocieżale sięgam do klamki, ale Ven okazuje się szybsza. Zdążyła już wyskoczyć z samochodu, okrążyć go i otworzyć mi drzwi. Z nieśmiałym

uśmiechem wysuwa w moją stronę rękę, bym się na niej wsparł, ale ja się nie ruszam. Patrzę na jej dłoń, zaciskając szczęki tak mocno, że aż trzeszczą mi zęby.

– Chris... – wzdycha.

– Nie. – Mocniej naciągam daszek wypłowiałej bejsbolówki i z niebywałym trudem wysiadam. Sportowe buty, które mi kupiła i do włożenia których mnie zmusiła, wzbijają tumany kurzu, gdy tylko moje stopy zderzają się z ziemią.

Rozglądam się, ale bez sentymentu, raczej mierzę się z nową rzeczywistością na chłodno. Dom rodziców wygląda niemal identycznie, jak w dniu mojej ostatniej wizyty, jakieś... trzy, może cztery lata temu. Ta sama weranda, ten sam dach i te same wspomnienia.

Tylko ja jestem teraz inny. Zniszczony. Na zewnątrz i w środku.

Dźwięk nadjeżdżającego samochodu przerywa gonitwę myśli w mojej głowie. Powoli odwracam się i zauważam jadący w naszym kierunku wóz. Nie mam pojęcia, kim jest kierowca, ale łączy go z moją siostrą ten sam styl jazdy. Autem trzęsie na boki, gdy zapada się w każdej możliwej dziurze. Nawet z takiej odległości da się wyłapać skrzypienie starej karoserii.

Gdy tak wpatruję się w tę zbliżającą się kupę złomu, czuję na sobie wzrok siostry i coś mi podpowiada, że nie będę zadowolony z tego, co się za chwilę wydarzy.

Spinam się.

Ubłocony Chevrolet z lat dziewięćdziesiątych zatrzymuje się na podjeździe, tuż za autem Ven, a po chwili wysiada z niego kobieta. Ma na sobie wysokie kalosze, równie brudne co jej pojazd, a także wąskie spodnie do jazdy konnej i kamizelkę przypominającą tę, którą niegdyś nosił mój ojciec.

– Chris... – odzywa się Ven w sposób, który wcale mi się nie podoba, bo przywołuje na myśl mieszankę prośby i ostrzeżenia. – To jest... doktor Young.

Zaciskam pięści.

– Pomoże ci.

Ja nie zasługuję na pomoc...



Rozdział 1

Ashling

Normalnie nie korzystam z telefonu, gdy naprzeciwko mnie siedzi osoba, z którą się umówiłam, ale tym razem to wydaje się moją jedyną przyzwoitą rozrywką podczas tego popołudnia.

Bell: Jak randka??? Błagam, powiedz, że jest gorący jak wulkaniczna lawa. ☹️

Trini: Czy ktoś może pozbyć się stąd Bell? Jej rady są tak cenne jak znoszone majtki, którymi handluje jak mały diler.

Bell: Do końca życia będziesz mi dogryzać z powodu jednej używanej pary majtek, którą sprzedałam mężczyźnie w potrzebie???

Trini: Ośmiu par, Bell. Było ich osiem. A ten facet to pewnie jakiś zbok.

Bell: PRZYPOMINAM TYLKO, ŻE MIAŁYŚMY WSPERAĆ ASH, A NIE WYPOMINAC MI BŁĘDY MŁODOŚCI!!!

Trini: To stało się zaledwie dwa tygodnie temu, a ty wciąż jesteś młoda.

Odkładałam komórkę i spoglądałam na faceta, z którym spotkałam się wyłącznie dlatego, że dziewczyny nie dałyby mi żyć, gdybym tego nie zrobiła.

– Poproszę flat white na mleku migdałowym, z lekką nutką wanilii – mówi uprzejmie John. – Ale taką niezbyt dominującą – zaznacza z uśmiechem.

Obserwuję tę scenę z zażenowaniem i mam coraz większą ochotę po prostu wstać i wyjść, ale idąc tutaj, obiecałam sobie, że choćby nie wiem co się wydarzyło, wytrwam do końca. Niezależnie od tego, jak bardzo irytującym mężczyzną okaże się mój towarzysz.

Pół roku temu Trini i Bell – absolutnie gdzieś mając moje zdanie – założyły mi konto na aplikacji randkowej, ponieważ obie zgodnie uznały, że powinnam w końcu zacząć się z kimś spotykać. Miał to być celnie wymierzony cios w tyłek byłego narzeczonego i siostry, która rok temu spakowała walizkę i wyjechała Bóg wie dokąd. Z tą idiotyczną myślą zaczęłam więc umawiać się na randki. Nie zliczę, na ilu nieudanych spotkaniach byłam i jak wielu palantów poznałam. John jednak od początku sprawiał wrażenie zupełnie innego. Skończył bankowość, ma swoje mieszkanie, interesujące hobby, jest elegancki i przystojny. Nie spędza wieczorów w barach, za to gra w golfa. Pisaliśmy ze sobą od jakiegoś czasu i wydawał się naprawdę zabawny, jednak teraz...

– Coś jeszcze? – pyta kelner i jestem przekonana, że z trudem powstrzymuje odruch przewrócenia oczami. Podobnie jak ja.

– Och, tak, pewnie. Poproszę bezglutenowy sernik wegański, na spody z komosy ryżowej i daktyli.

John zamyka menu i oddaje kartę chłopakowi, tłumacząc coś jeszcze na temat kawy, a ja wymyślam najróżniejsze sposoby na pozbawienie moich przyjaciółek palców, by nigdy więcej nie dotknęły żadnego telefonu. Zwłaszcza mojego. Wzrokiem wędruję po idealnie wyprasowanej koszuli Johna i zupełnie niespodziewanie dociera do mnie, że on przypomina mi Williama. Co zabawne, gdy wymienialiśmy wiadomości, odnosiłam wrażenie, że jest zupełnie inny niż mój były narzeczone, ale po dziesięciu minutach w jego towarzystwie... mam dość. Nagle przypominają mi się też słowa babci Lulu: „Jeżeli wiesz, że jakieś ciastko ci nie posmakowało,

po cholerę sięgasz po identyczne?”. Niemal słyszę w głowie ton, jakim to mówiła.

Gdy tylko kelner się oddala, John znów skupia się na mnie.

– Cóż... szkoda, że nie miałas ochoty na ten serniczek.

„*Serniczek*”.

– Jest rewelacyjny. – Posyła mi olśniewający uśmiech, a potem, gdy chce dodać coś jeszcze, jego komórka zaczyna dzwonić, więc sięga po nią do kieszeni, posyłając mi przepaszający uśmiech. – Cholera, przepraszam, Ashling, ale czekałem na ten telefon. Wybacz, muszę odebrać. Wrócę za moment.

Odprowadzam go wzrokiem, gdy zmierza w kierunku wyjścia, i nagle w mojej głowie pojawia się okropna myśl. *A co, gdybym teraz uciekła?* Byłoby mu przykro? Upiłby się z żalu? Zresztą, co mnie to obchodzi. Facet zamiast na drinka wieczorem zaprosił mnie na kawę i s e r n i c z e k w jego ulubionej restauracji. *Chrzanić to!* Chrzanić moje postanowienia, które miały dla mnie znaczenie, gdy tu szłam. Zrywam się z krzesła i zarzucam torebkę na ramię. Rozglądam się dookoła, szukając drogi ucieczki.

– Tylne wyjście – słyszę niespodziewanie za plecami czyjś głos.

Odwracam się i widzę kelnera, który przyjmował nasze zamówienie. Mam ochotę rzucić mu się w ramiona i ucałować za ten niezaprzeczalny akt miłosierdzia.

– Mówisz poważnie? – pytam i jestem niemal pewna, że brzmię jak desperatka.

Chłopak uśmiecha się szeroko.

– Jak najbardziej. – Rusza w kierunku zaplecza, a ja drepczę za nim, oglądając się co chwilę za siebie, by mieć pewność, że John wciąż rozmawia przez telefon.

Zachowuję się jak niedojrzała nastolatka, ale w tej chwili wolę myśleć o tym jak o podjęciu jedynej słusznej decyzji.

– Tędy. – Zerka na mnie przez ramię i prowadzi do dużych metalowych drzwi, które skrzypią przerażająco, gdy popycha je z całej siły.

– Jesteś cudowny! Dziękuję. – Składałam dłonie jak do modlitwy i patrzę na niego z wdzięcznością.

– Taaa... Podobno... – Nieco zawstydzony drapie się po karku, a po chwili znika we wnętrzu budynku.

Nigdy więcej randek z aplikacji!



Niedzielne popołudnie spędzam na wylegiwaniu się na kanapie przed telewizorem i pochłanianiu gigantycznej porcji lodów. Bell i Trini od wczoraj nieustannie próbują się ze mną skontaktować, ale ja świadomie je ignoruję, by dać im nauczkę.

Po powrocie do domu z nieudanej randki napisałam im jedynie, że John okazał się porażką, po czym streściłam przebieg tego spotkania. Zajęło mi to dwa zdania. Dosłownie.

Patrzę na wyświetlacz i znów mam ochotę skopać im tyłki.

Bell: No weź, Ash, chcieliśmy dobrze! 😊

Trini: Żadna z nas nie sądziła, że jest dziwakiem, Ty też nie, przyznaj.

Bell: Dokładnie! Mój radar zakwalifikował go do grupy: NA PEWNO MA DUŻEGO FIUTA, ale nie sądziłam, że zajada się tekturą. 🤖

Trini: Komosa ryżowa to nie jest tektura...

Bell: Nieistotne. Facet na zdjęciu wyglądał na spokojnego gościa, jestem przekonana, że gdybyś zajrzała mu w spodnie, moja teoria na temat jego kutasa okazałaby się słuszna. Może trzeba było na niego poczekać?

Trini: Bell, zamknij się, bo w przeciwnym razie Ash nigdy więcej się do nas nie odezwie!

Ja: Niech żadna z Was więcej
nie dotyka mojego telefonu! Nigdy!
Pozbyłam się tej aplikacji!

Bell: 😞

Trini: 😊

Chociaż jestem na nie zła, to i tak nie mogę powstrzymać uśmiechu cisnącego mi się na usta. Od dawna te dwie wariatki są jak moja rodzina i wiem, że naprawdę chciały dobrze.

Tak wiele zdarzyło się w ciągu minionego roku... Nagły wyjazd Alice tuż po tym, jak nakryłam ją z Williamem, szalejąca z niepokoju matka, która mimo wszystko uznała, że powinnam dać szansę byłemu narzeczonemu i wybaczyć siostrze. Jakby to było takie proste. Tylko dzięki Trini i Bell nie rozpadłam się na milion kawałeczków.

Telefon zaczyna dzwonić. Zerkam na wyświetlacz i natychmiast odbieram, widząc imię Melody, właścicielki księgarni, w której pracuję. Od pierwszego dnia mojej pracy bardzo ją polubiłam, ale w ostatnim czasie jeszcze mocniej się do siebie zbliżyłyśmy. To pewnie dlatego, że przypomina mi babcię Lulu, z którą łączyła mnie wyjątkowa więź; nigdy niewystępująca między mną a mamą. Babcia była kochana, trochę szalona, ale zawsze mogłam na niej polegać. Gdy matkę pochłaniało bieganie z castingu na casting w nadziei na rolę życia, Lulu – bo wołała, gdy tak się do niej zwracaliśmy – dawała mi namiastkę prawdziwego domu. Chłonełam każdą chwilę w jej towarzystwie i nie rozumiałam, dlaczego Alice nie może się z nią dogadać.

– Tak, Melody?

– Och, Ashling! – piszczy radośnie, a ja odsuwam telefon od ucha, ponieważ rozentuzjasmowana Melody zawsze jest zbyt głośna. – Te niedzielne zajęcia to strzał w dziesiątkę!

W tle słyszę śmiech dzieci i dźwięczny głos Chloe, która wpada do nas w każdą niedzielę i czyta maluchom. Dzieciaki ją uwielbiają.

– Powinnam się pojawić?

– Nie, odpoczywaj. – Chichocze. – Musisz dojść do siebie po wczorajszej randce.

Przewracam oczami, żałując, że w ogóle opowiedziałam jej, jak wyglądało spotkanie z Johnem, ale ona bywa naprawdę nieustępliwa, gdy chce się czegoś dowiedzieć.

– To nie jest zabawne, Melody.

– Dobrze, już dobrze. Zamknę dziś.

– A Frank? Co sądzi o Chloe?

Frank to chłopak Melody, choć brzmi to dość dziwnie zważywszy na to, że oboje są po sześćdziesiątce.

– Nie zaczynaj! – upomina mnie, a ja momentalnie się uśmiecham. Melody Hayes to strasznie zazdrosna żoła i niejednokrotnie byłam świadkiem, jak strofowała biednego Franka, gdy jego spojrzenie powędrowało do innej kobiety. – On ma zakaz patrzenia w jej kierunku. Dożywotnio. Czyli... bo ja wiem... na jakieś dziesięć do dwudziestu lat. Oczywiście jeżeli przestanie jeść tyle czerwonego mięsa.

– Jesteś okropna. – Śmieję się.

– Tak, tak... – wzdycha. – Podobno.

Zamieniamy jeszcze kilka zdań, po czym się rozłączam. Mam szczęście, że otaczają mnie ludzie tacy jak ona. Rok temu musiałam zacząć nowe życie bez Williama, odwołać ślub i znieść lament matki, gdy dowiedziała się, że zdradził mnie z Alice. Najgorsze w tym wszystkim było jednak to, że bardziej żałowała jej, chociaż to ja potrzebowałam pocieszenia. Wszystko, co znałam, nagle zniknęło, a poczucie bezpieczeństwa rozmyło się, pozostawiając po sobie jedynie cięć.



Następnego ranka otwieram księgarnię z dziwnym poczuciem lęku. Nie potrafię wyjaśnić, skąd się wziął, ale przylgnął do mnie, gdy tylko uniosłam powieki, i czuję go niemal na całym ciele. Jakby do moich pleców przykleił się mokry koc.

Popychając drzwi, słyszę gdzieś z oddali krzyk Bell:

– Ashling! Ash!

Odwracam się i widzę pędzącą w moim kierunku przyjaciółkę. To dość zaskakujący widok, zwłaszcza że jest poniedziałkowy poranek, a Bell jest wystrojona, jakby wybierała się na randkę.

– Cholera – sapie zdyszana i poprawia grafitową sukienkę opinając jej kształtne biodra. – Te szpilki to jakiś koszmar – jęczy z frustracji.

Spoglądam w dół, na jej obcasy, i aż się krzywię na samą myśl, jak bardzo niewygodne muszą być. Natychmiast przenoszę wzrok na swoje białe trampki, które może i nie są najpiękniejsze, ale za to komfortowe.

– Co tu robisz? – pytam, wchodząc do środka.

Bell drepcze za mną, sycząc z bólu i przeklinając pod nosem.

– Mam rozmowę w sprawie pracy. – Siada w fotelu pod oknem i zrzuca szpilki. Przez chwilę masuje stopy, wzdychając z ulgą. – Jeśli tylko zdołam tam dotrzeć. – Krzywi się.

– O ile wiem, to masz pracę. – Zanoszę na zaplecze torebkę, a potem wracam do przyjaciółki.

– Ale chcę mieć taką jak Trini – marudzi, mocniej ugniatając palce. Czerwień na jej paznokciach lśni w porannym słońcu, którego promienie wpadają do środka przez ogromne okno.

Podchodzę bliżej i siadam na wyłożonym poduszkami parapecie. Kącik do czytania był moim pomysłem, do którego Melody na początku nie była przekonana, a okazał się kolejnym strzałem w dziesiątkę.

– Pracę czy może szefa? – Unoszę brwi, spoglądając na Bell.

– A jakie to ma znaczenie?

– Chryste... – jęczę i zaczynam się śmiać. – Powiedz mi, gdzie masz tę rozmowę?

– W Jackson Atelier – oznajmia dumnie.

– Jeśli dobrze pamiętam, firma zajmuje się wystrojem wnętrz nowoczesnych apartamentów. Nie znasz się na wnętrzach – stwierdzam.

– No i co? – Wzrusza ramionami i w końcu przestaje masować stopy. Niechętnie sięga po buty i znów krzywi się z bólu, gdy tylko wciska je na

stopy, po czym wstaje i posyła mi udręczone spojrzenie. – Życz mi powodzenia.

– Powodzenia, Bell. – Uśmiecham się szeroko i odprowadzam ją wzrokiem do wyjścia.

Gdy tylko zostaję sama, wpisuję w wyszukiwarkę „Jackson Atelier”, a następnie dopisuję słowo „właściciel”. Sekundę później Google wypływa dziesiątki zdjęć przystojnego blondyna w idealnie dopasowanym garniturze. Na każdym z nich towarzyszy mu inna kobieta. Niezaprzeczalnie jest przystojny i bez dwóch zdań w typie Bell, jednak sądząc po jego partnerkach, to ona nie jest w jego typie. Niestety nie istnieje taka siła, która powstrzymałaby ją przed pójściem na tę rozmowę.

Odkładam telefon i zabieram się do pracy, jednak przez cały czas mam wrażenie, że coś jest nie tak. Jestem dziwnie niespokojna i dość nerwowo reaguję na każdy dźwięk, zarówno w księgarni, jak i na ulicy. To przypomina dni, w których wypijam za dużo kawy i nie jestem w stanie się na niczym skupić, a moje serce bije nieco szybciej niż zwykle.

Takie roztargnienie towarzyszy mi przez następne godziny, aż do zamknięcia.

Gdy idę chodnikiem, myślę, czy włoski temperament mojej przyjaciółki nie doszedł dziś do głosu i czy Ford Jackson jeszcze żyje.

Po drodze do mieszkania wstępuję jeszcze do sklepu i robię niewielkie zakupy. Godzinę później dostaję w końcu wiadomość od Bell.

Bell: Jestem pewna, że mam tę pracę! 🐼

Ja: Tak Ci powiedzieli???

Bell: Nie bądź dziecinna, Ash. Wyczytałam to w oczach Cholernie Gorącego Forda Jacksona! 🐼

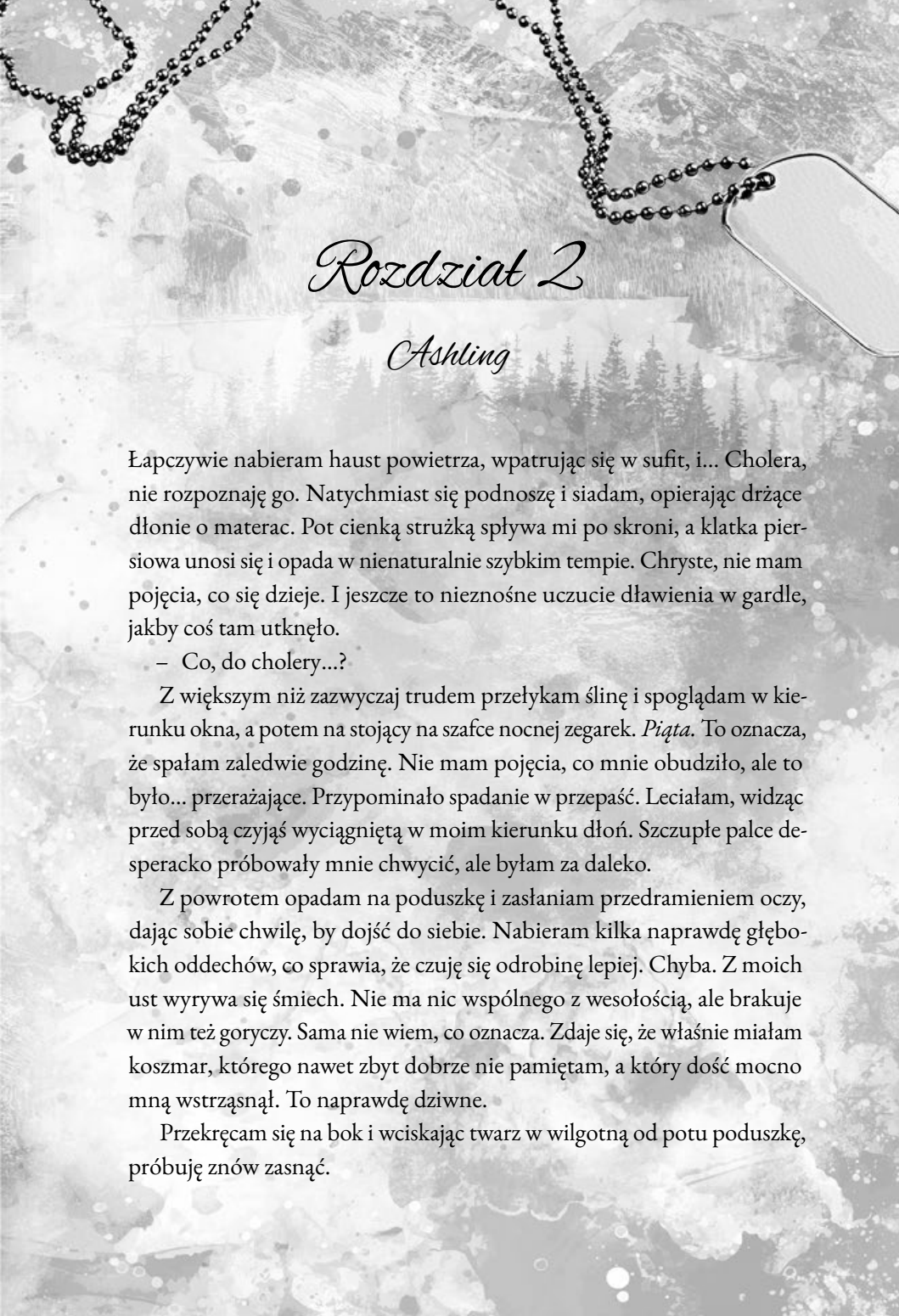
Ja: Zatem, Panie, miej w swojej opiece
Cholernie Gorącego Forda Jacksona...

Trini: Nie waż się pracować dla jakiegoś
dupka!!! 🤢

Nie odpisuję, zamiast tego przygotowuję sobie kolację, a potem idę pod prysznic. Gdy kładę się do łóżka, znów ogarnia mnie niepokój. To cholernie dziwne uczucie i za nic w świecie nie potrafię go wytłumaczyć. Ono po prostu jest. Właściwie to nie mam pewności, czy w ogóle mnie dziś opuściło.

Na chwilę wstrzymuję oddech. Nie wiem nawet dlaczego, a jednak nie jestem w stanie zmrużyć oczu przez całą noc.

Zasypiam dopiero nad ranem.



Rozdział 2

Ashling

Łapczywie nabieram haust powietrza, wpatrując się w sufit, i... Cholera, nie rozpoznaję go. Natychmiast się podnoszę i siadam, opierając drżące dłonie o materac. Pot ciekącą strużką spływa mi po skroni, a klatka piersiowa unosi się i opada w nienaturalnie szybkim tempie. Chryste, nie mam pojęcia, co się dzieje. I jeszcze to nieznośne uczucie dławienia w gardle, jakby coś tam utknęło.

– Co, do cholery...?

Z większym niż zazwyczaj trudem przelękam ślinę i spoglądam w kierunku okna, a potem na stojący na szafce nocnej zegarek. *Piąta*. To oznacza, że spałam zaledwie godzinę. Nie mam pojęcia, co mnie obudziło, ale to było... przerażające. Przypominało spadanie w przepaść. Leciałam, widząc przed sobą czyjąś wyciągniętą w moim kierunku dłoń. Szczupłe palce desperacko próbowały mnie chwycić, ale byłam za daleko.

Z powrotem opadam na poduszkę i zasłaniam przedramieniem oczy, dając sobie chwilę, by dojść do siebie. Nabieram kilka naprawdę głębokich oddechów, co sprawia, że czuję się odrobinę lepiej. Chyba. Z moich ust wyrывa się śmiech. Nie ma nic wspólnego z wesołością, ale brakuje w nim też gorzkości. Sama nie wiem, co oznacza. Zdaje się, że właśnie miałam koszmar, którego nawet zbyt dobrze nie pamiętam, a który dość mocno mną wstrząsnął. To naprawdę dziwne.

Przekręcam się na bok i wciskając twarz w wilgotną od potu poduszkę, próbuję znów zasnąć.

Godzinę później piję kolejną już kawę – drugą, a możliwe, że nawet trzecią – i niechętnie zerkam na talerz z leżącą na nim nietkniętą kanapką. Naprawdę czuję głód, ale przez mdłości nie potrafię się zmusić, by zatopić zęby w tym cholernym bajglu. Gdybym chadzała na randki i sypiała z facetami, pewnie właśnie umierałabym ze strachu przed nieplanowaną ciążą. To jednak niemożliwe, bo nie uprawiałam seksu od... Jasna cholera, nawet nie pamiętam, od kiedy. Zdaje się, że ostatni raz był przed wypadem do spa, który zakończył się nakryciem Williama z Alice w łóżku.

Alice...

Niespodziewanie myśl o siostrze zagnieżdża się w mojej głowie, kradnąc też odrobinę miejsca w sercu. Przez miniony rok nie myślałam o niej prawie ani razu. Tak bardzo uparłam się, by wyrzucić ją ze swojego życia, że naprawdę mi się to udało. Oczywiście pomógł mi w tym jej wyjazd i bywały nawet dni, gdy zapominałam, że gdzieś tam jest moja bliźniaczka. Ta sama, która przez lata udowadniała mi, że jest lepsza, ładniejsza i może mieć, kogo tylko zechce.

Nawet Williama.



– Chloe, jesteś niesamowita! – Z wdzięcznością wpatruję się w dziewczynę i nie wiem, co mogłabym jeszcze dodać. – Masz pojęcie, że dziś rano zadzwoniła do mnie kolejna osoba z pytaniem, czy mamy miejsce dla jeszcze dwojga dzieci?

Dostrzegam rumieniec pojawiający się na jej ślicznej twarzy, ale nie dziwi mnie to, jest skromna i niespecjalnie potrafi przyjmować komplementy.

– To nie moja zasługa. – Kręci głową i sięga po jedną z książek. Jakiś czas temu zauważyłam, że jest ogromną fanką romansów, dlatego gdy tylko zamawiam jakieś pikantne nowości, natychmiast daję jej znać. – Czytanie. – Spogląda na mnie przelotnie. – Chodzi o czytanie, Ash. – Przesuwa palcem po okładce, jakby się zastanawiała, czy jej się podoba, czy raczej

nie. W końcu odkłada wolumin na miejsce i podchodzi do fotela, na który opada z głośnym westchnieniem.

– Coś cię trapi... – stwierdzam, na co nieznacznie kiwa głową.

– Chyba zmienię kierunek. Aktorstwo nie jest dla mnie.

Dlaczego nie jestem zdziwiona?

– Ale praca z dziećmi owszem – sugeruję i sięgam po kawę. Dziś jestem w stanie przyjąć wyłącznie ją.

– Taaa... Lubię dzieci. – Wzrusza ramionami. Ma zamiar dodać coś jeszcze, ale drzwi księgarni otwierają się gwałtownie. Obie spoglądamy w tamtych kierunku.

W progu staje mama, co jest dość zaskakujące, bo nigdy wcześniej nie odwiedzała mnie w pracy.

– Mamo, co ty tu robisz? – pytam idiotycznie, ale chyba dlatego, że muszę samą siebie przekonać, że naprawdę tu jest. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz ją widziałam. Od czasu do czasu dzwoniłyśmy do siebie, ale nawet wtedy nasze rozmowy były sztywne i jałowe.

Kątem oka dostrzegam, że Chloe wstaje z fotela.

– To do niedzieli – rzuca, po czym wymyka się przez otwarte na oścież drzwi.

Wpatruję się w matkę i nie jestem w stanie określić, co właściwie teraz czuję. Jakaś część mnie naprawdę za nią tęskniła, ale moja racjonalna strona ciągle szeptała, że nie powinnam przebywać wśród ludzi, którzy mnie krzywdzą. A mama krzywdzi mnie za każdym razem, gdy bagatelizuje moje cierpienie.

– Ash... – szepcze, ledwo poruszając ustami. Zazwyczaj uczesana i umalowana Wren Bennett dziś przypomina wrak człowieka. Jej włosy przylegają do głowy, a pod oczami ma ciemne smugi rozmazanego makijażu. – Ash... – powtarza. – Ash... Ash... – Osuwa się na kolana i chowa twarz w dłoniach, zanosząc się szlochem. To nie jest zwykły płacz. To skowyt żalu, bólu i niedowierzania.

Nagle, jak ostry sztylet wbity w serce, wraca do mnie wspomnienie tego, w jaki sposób wybudziłam się dziś ze snu. Ogarnia mnie panika,

a gdy udaje mi się odezwać, nie rozpoznaję własnego głosu. Jest drżący, cholernie obcy i przesiąknięty strachem.

– Coś się stało, prawda? Coś złego?

– Mój Boże, Ash... – Mama spogląda na mnie, ale jestem przekonana, że niewiele jest w stanie dostrzec, ponieważ jej oczy wypełnione są łzami. Łka, a jej dolna warga drży. – Córeczka... m-moja kochana c-córeczka... – jąka się i mruga pospiesznie, uwalniając kolejne słone krople. – Moje dziecko!

Dreszcz niepokoju przebiega mi po kręgosłupie, a następnie celnie uderza w serce.

Alice.

Sen.

– Co z nią? Co z Alice, mamó?! – krzyczę.

– Nie ma jej, nie ma jej, nie ma! Nie będzie już mojej cudownej Alice. Umarła! – zawodzi.

W tym momencie nie interesuje mnie to, że drzwi księgarni wciąż są otwarte, a przechodzący chodnikiem ludzie zerkają z zaciekawieniem do środka. W tej chwili nic mnie już nie obchodzi, bo dotarło do mnie, że i ja właśnie umieram.

– To niemożliwe – szepczę i siadam na podłodze.

Obraz wyciągniętej ku mnie dłoni chyba już na zawsze pozostanie w mojej pamięci. To była ona. Alice umierała, podczas gdy ja leżałam w łóżku i byłam zła, że nie mogę zasnąć. Moja siostra odchodziła, a ja nie mam pewności, czy był przy niej ktoś, komu ufała, kogo... kochała. Nic nie wiem o jej życiu, a ono zgasło. Nic nie naprawi minionego roku, nic mi jej nie zwróci. Na Boga! Chcę ją przytulić. Chcę znosić jej głupie miny i docinki, że jestem jej mniej udaną wersją. Mogę nią być, dla niej.

– Może to jakaś pomyłka? – pytam, licząc, że za chwilę obie dojdziemy do wniosku, że to tylko głupie nieporozumienie.

Mama bierze głęboki oddech i podnosi się z kolan. Skulona wpatruje się w swoje dłonie, jakby się zastanawiała, jak powiedzieć mi te wszystkie okropne rzeczy, które w tej chwili miażdżą jej serce.

– Policja. Byli u mnie... – Pociąga nosem. – To był wypadek samochodowy. Alice prowadziła.

Nie, na pewno nie. Gdy miałyśmy po siedemnaście lat, moja siostra bez pytania wzięła auto mamy, by zaszpanować przed znajomymi, i miała stłuczkę. Nikomu nic się nie stało, ale szkody były spore, bo drugi samochód był o wiele droższy niż nasz, a jego właściciel uparcie egzekwował należności związane z naprawą. Pamiętam, że mama długo nie chciała się potem zgodzić, by Alice zrobiła prawko, a i ona sama nie wsiadła chętnie za kółko.

– Alice bała się jeździć autem! Niemożliwe, że wsiadłaby za kierownicę. – Zrywam się na równe nogi, czując w sobie malarńką isierkę, która z każdą sekundą swoim żarem rozpala większe pokłady nadziei. – To jakaś pomyłka! Na pewno! Alice bywa nierozsądna, ale nie wsiadłaby do...

– To nie jest żadna pomyłka, Ash – przerywa mi. – Alice... jej już nie ma... – mówi głosem tak pustym, że przechodzą mnie ciarki. – Nie ma mojej ukochanej Alice...

Znów zaczyna płakać, a ja nie jestem w stanie nic zrobić. Nie znajduję słów, którymi mogłabym ją pocieszyć.

Mama podnosi na mnie wzrok. Jest w nim coś takiego, co powoduje, że na moim ciele pojawia się gęsia skórka.

– To przez ciebie wyjechała – cedzi powoli, świdrując mnie spojrzeniem. – Ty ją do tego zmusiłaś. A teraz ona... nie żyje.

Serce pęka mi na pół. Czuję to. Wyrwa w jego idealnej strukturze jest dla mnie ostrym, kłującym bólem, którego nic nie może powstrzymać. Brak mi tchu, dlatego milczę i wpatruję się w załzawione oczy matki. Jedyne, co w nich widzę, to żal. Nie potrafię pozbierać myśli czy choćby zmusić ciało, by się poruszyło. Tylko mruganie przychodzi mi z łatwością, ale to z pewnością dlatego, że wciąż płaczę. Łzy spływają po mojej skórze, a ja mam wrażenie, że są jak ostrze noża tnące policzki.

Zostaną mi po nich cholerne blizny. Na zawsze.

Nie mam odwagi zatrzymać mamy, gdy zmierza do wyjścia.

Niedobrze mi...



– Musisz coś zjeść – nalega Bell głosem tak cichym, że ledwo ją słyszę. Jednocześnie czuję, jak materac ugina się pod jej ciężarem, gdy siada koło mnie. Wciąż leżę zwrócona do niej plecami, bo nie mam siły, by się przekręcić. – Ash... – odzywa się, tym razem nieco głośniejsze.

– Wrócę dziś do domu – mamrocze, bo wyrzuty sumienia nie dają mi spokoju.

Gdy wczoraj zadzwoniłam do niej i powiedziałam o Alice, rzuciła wszystko i przyjechała po mnie do księgarni, a potem zabrała prosto do siebie. Jej maleńkie łóżko cudem pomieściło nas dwie, a mimo to nie odstępowала mnie na krok przez całą noc. I dzisiejszy poranek.

– Nie ma mowy! – protestuje. – Zostajesz tutaj albo możemy obie przenieść się do ciebie. Nie spuszczę cię z oka, dopóki Trini nie przyleci.

Na wzmiankę o mojej drugiej przyjaciółce łyż same cisną mi się do oczu.

– Jak to? – pytam i spoglądam na Bell przez ramię.

– No chyba nie sądziłaś, że zostawimy cię samą? – Możliwe, że tylko mi się wydaje, ale chyba brzmi na odrobinę wkurzoną. – Cholera, Ash! Jak w ogóle coś takiego mogło ci przyjść do głowy?

– Przepraszam. Po prostu... – urywam, wzrokiem wędrując w kierunku okna, bo tak naprawdę nie wiem, co powinnam powiedzieć.

– Będzie wieczorem. Obiecałam, że odbiorę ją z lotniska... – Bell zastanawia się nad czymś przez chwilę. – Ale równie dobrze może przyjechać tu Uberem.

– Nie musisz się obawiać, mogę zostać sama – oświadczam.

– Po prostu się martwię. Chcesz o tym pogadać?

Czasem trudno uwierzyć, że ta szalona i nieokiełznana kobieta jest też niesamowicie wrażliwa i kochana.

– Nie, dzięki – mamrocze.

– A mama? – pyta z lekkim wahaniem. – Dzwoniła?

Wciąż mam przed oczami zapłakaną twarz matki. To, jak patrzyła na mnie, mówiąc, że przeze mnie Alice umarła... *Chryste, nie zniosę tego. Nie*

dam rady. To zbyt wiele. Zwinięta szlocham w poduszkę, czując sunącą po moich plecach dłoń Bell.

– Dasz radę, Ash. Dasz radę, do cholery – mówi tak, jakby samą siebie chciała o tym przekonać.

Wieczorem kilkakrotnie się upewnia, że nie zwieję z jej mieszkania, gdy tylko zamknie za sobą drzwi, by pojechać na lotnisko po Trini. Zachowuje się, jakbym była dwulatkiem, którego zostawia na polu minowym. To niedorzeczne.

– Zamówiłam pizzę – mówi, zarzucając torebkę na ramię. Sprawdza, czy ma w niej kluczyki i telefon, a potem posyła mi jedno z tych swoich spojrzeń pod tytułem „I tak się dowiem, co robiłaś podczas mojej nieobecności”. – Błagam cię, nie ruszaj się stąd, bo Trini urwie mi głowę.

– Obiecuję.

Telefon Bell zaczyna dzwonić, na co przewraca oczami. Nie musi go wyjmować, to oczywiste, że Trini po raz kolejny przypomina, że wciąż czeka na lotnisku.

– Idę – informuje, ale nie robi nawet kroku.

– Nie martw się, poczekam na was. – Wypycham ją za drzwi.

Naprawdę nie mam zamiaru się stąd ruszać, bo w tej chwili nie ma miejsca na ziemi, w którym chciałabym być bardziej niż właśnie tutaj. Przy moich przyjaciółkach.

Idę do jej maleńkiej sypialni po telefon i ze smutkiem wpatruję się w ekran, bo mama wciąż się do mnie nie odezwała. Kładę się na łóżku i ponownie wybieram jej numer, ale od razu wita mnie poczta głosowa, a wesoły głos, gdy mówi: „Cześć, tu Wren, najlepsza fryzjerka w mieście! Nagraj się, a na pewno oddzwonię!”, sprawia, że mam ochotę krzyczeć.

Chciałabym móc cofnąć czas do dnia, w którym zrozpaczona zatelefonowała do mnie i oznajmiła, że Alice wyjeżdża. Wciąż doskonale pamiętam jej złość i frustrację, gdy błagała mnie, żebym powstrzymała siostrę.



– *Asbling! Porozmawiaj z nią!*

– *Chcesz, żebym poprosiła, by została... – upewniam się, gdy zatrzymuję się przed księgarnią. Moje serce łomocze w piersi jak oszalałe i wciąż mam nadzieję, że przez szum przejeżdżających ulicą aut źle ją usłyszałam.*

– *Przecież to przez ciebie ucieka.*

Biorę głęboki oddech i przytrzymuję komórkę przy uchu ramieniem, by wyjść z torebki klucze.

– *Ucieka, bo zrobiła mi świństwo, mam, i możliwe, że pierwszy raz w życiu czuje wstyd z powodu tego, czego się dopuściła. – Jakim cudem mój głos jest tak opanowany, skoro ledwo udaje mi się wsunąć klucz do zamka? – Całe życie dawała mi do zrozumienia, że jest lepsza ode mnie... – wreszcie otwieram drzwi – ...i że może mieć to, czego zapragnie. Chciała mojego narzeczonego, więc go dostała.*

Wchodzę do księgarni, a mama w tym czasie wybucha głośnym płaczem.

– *W-wiesz, że ona...*

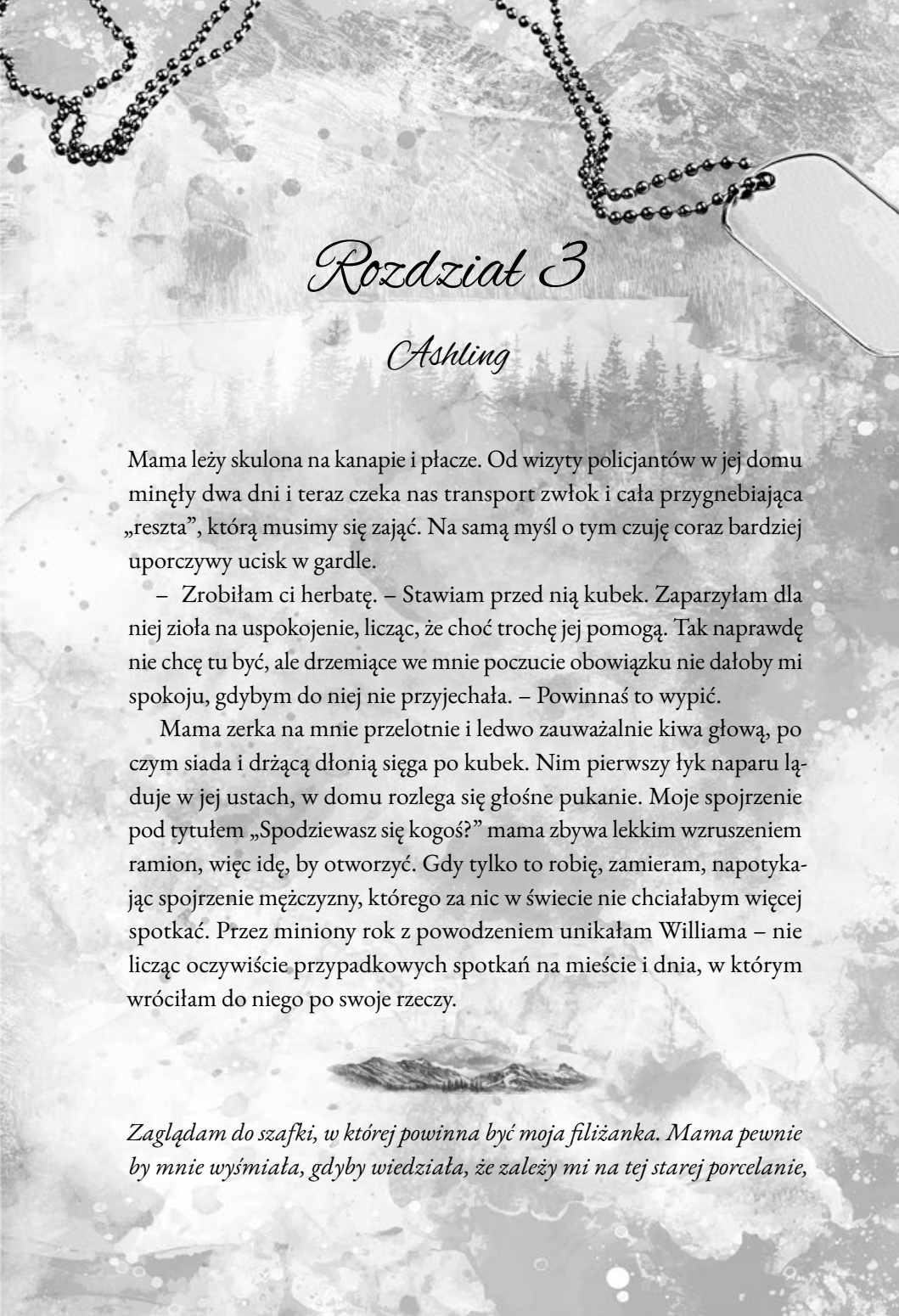
– *Pa, mam! – Nie pozwalam jej dokończyć, tylko się rozłączam.*



Drgam, gdy nagle komórka, którą wciąż trzymam w dłoni, zaczyna dzwonić. Na wyświetlaczu pojawia się komunikat: „Numer nieznany”. I choć w pierwszej chwili waham się, czy powinienam odbierać, to jednak mój palec niemalże bezwiednie przesuwa się po ekranie.

– Halo? – odzywam się, jednak po drugiej stronie panuje cisza. – Kto mówi? Halo?

Mija kilka sekund i połączenie zostaje zerwane.



Rozdział 3

Ashling

Mama leży skulona na kanapie i płacze. Od wizyty policjantów w jej domu minęły dwa dni i teraz czeka nas transport zwłok i cała przysgnębiona „reszta”, którą musimy się zająć. Na samą myśl o tym czuję coraz bardziej uporczywy ucisk w gardle.

– Zrobiłam ci herbatę. – Stawiam przed nią kubek. Zaparzyłam dla niej zioła na uspokojenie, licząc, że choć trochę jej pomogą. Tak naprawdę nie chcę tu być, ale drżące we mnie poczucie obowiązku nie dałoby mi spokoju, gdybym do niej nie przyjechała. – Powinnas to wypić.

Mama zerka na mnie przelotnie i ledwo zauważalnie kiwa głową, po czym siada i drżącą dłonią sięga po kubek. Nim pierwszy łyk naparu łąduje w jej ustach, w domu rozlega się głośne pukanie. Moje spojrzenie pod tytułem „Spodziewasz się kogoś?” mama zbywa lekkim wzruszeniem ramion, więc idę, by otworzyć. Gdy tylko to robię, zamieram, napotyka-
jąc spojrzenie mężczyzny, którego za nic w świecie nie chciałabym więcej spotkać. Przez miniony rok z powodzeniem unikałam Williama – nie licząc oczywiście przypadkowych spotkań na mieście i dnia, w którym wróciłam do niego po swoje rzeczy.



Zaglądam do szafki, w której powinna być moja filiżanka. Mama pewnie by mnie wyśmiała, gdyby wiedziała, że zależy mi na tej starej porcelanie,

ale ona nigdy nie rozumiała mojej relacji z babcią ani tego, jak ważne jest dla mnie to, co mi po niej zostało.

– Cieszę się, że przyszedłeś. Naprawdę, Ash. Tęskniłem...

– Nie miej złudnych nadziei. Wpadłam tylko po... – Sięgam głębiej do szafki, ale gdy wciąż nie znajduję filiżanki, prostuję się i rzucam Williamowi srogie spojrzenie. – Gdzie pamiątka po babci?

Marszczy brwi. Najwidoczniej nie takiej reakcji się spodziewał, gdy wyznał mi, że tęsknił. Cóż, ja też byłam odrobinę rozczarowana, gdy jego fuit frywolnie baraszkował w mojej siostrze.

– Jaka pamiątka? – pyta nieco zbity z tropu, chociaż doskonale wie, o co mi chodzi.

Milion razy podkreślałam mu, by na nią uważał, a on milion razy odpowiadał, że dba o nią tak samo, jak o mnie. Cóż, gdy teraz o tym myślę, zaczynam sądzić, że ręcznie malowana porcelana spoczywa już na śmietniku.

– Moja. Filiżanka. Biała, z ręcznie malowanymi kwiatami. Miała lekko uszczerbiony brzeg.

– Powinna tam być...

– Ale jej nie ma.



A teraz wpatrujemy się w siebie w milczeniu, co sprawia, że zaczynam się czuć nieswojo, jakbym wcale nie spędziła z nim czterech lat.

– Ash... – szepcze i nerwowo przeczesuje palcami włosy. Jego spojrzenie ucieka na moment w bok, a gdy znów skupia się na mnie, staje się takie jak dawniej. Czułe i znajome. – Twoja mama do mnie zadzwoniła – tłumaczy.

Nie komentując, wpuszczam go do środka, po czym cicho zamykam drzwi i opieram się o nie plecami. Dziwnie jest znów być tak blisko niego. Ostatni raz widzieliśmy się przypadkowo kilka miesięcy temu, a teraz wchodzi do tego domu jak do siebie i wkurza mnie to, że tak swobodnie czuje się w miejscu, w którym się wychowałam, podczas gdy ja zastanawiam się, czy to wciąż mój azyl.

William wygląda, jakby chciał coś powiedzieć, ale możliwe, że brakuje mu słów. Stoi z dłońmi wciśniętymi do kieszeni czarnych jeansowych spodni, a ja sunę wzrokiem wyżej, do jego koszuli w takim samym kolorze... I właśnie coś do mnie dociera.

Żaloba.

Żaloba po mojej siostrze.

Z którą miał cholerny romans.

Nienawidzę się za to, że w tej chwili jestem na tyle samolubna, by rozpamiętywać to, co mi zrobili.

– Tak mi przykro, Ash. – Will robi ku mnie niepewny krok.

Mogłabym go odepchnąć, na co oczywiście mam ochotę, ale to nie jest odpowiedni czas, by toczyć z nim bezsensowną walkę.

– Nie wiem, co mógłbym jeszcze powiedzieć.

Wpatrujemy się w siebie. Mam wrażenie, że milion słów ciśnie się nam obojgu na usta, ale ostatecznie rezygnujemy z ich wypowiedzenia.

To złe miejsce i jeszcze gorszy moment.

– Nic, Will. – Delikatnie kręcę głową. – Nic nie mów.

Mijam go i idę do salonu, a on rusza za mną.

– Wren... – Jego głos jest miękki i współczujący.

Mama na jego widok się ożywia. Odstawia kubek i podrywa się z miejsca. W jej oczach lśni jakiś rodzaj szczęścia, taki, który nie pojawia się, gdy patrzy na mnie. Pewnie powinnam poczuć się odrzucona, zraniona, a może nawet wściekła, tymczasem ja nie czuję kompletnie nic.

– Will, dziękuję, że przyjechałeś. To wiele dla mnie znaczy. – Wpada w jego ramiona. – Zawsze byłeś taki pomocny, a ja...

William, mimo że obejmuje moją matkę, patrzy tylko na mnie.

– Mamo, musimy podjąć decyzję w związku z pogrzebem... – mówię, ale nie otrzymuję odpowiedzi. Nic prócz głośniejszego płaczu.

– Już się tym zająłem – odzywa się Will.

– Zająłeś się? – pytam, nie kryjąc zdziwienia.

– Tak, załatwiłem, co trzeba. Transport zwłok, niezbędne dokumenty...

„Transport zwłok”.

– Ty? Ty załatwiłeś...

– Tak, Ash. Nie gniewaj się, ale musiał to zrobić ktoś, kto był w stanie myśleć racjonalnie. Wybacz, ale... – urywa i zerka na moją mamę, która wciąż płacze wtulona w niego. – To wydawało mi się rozsądne – dodaje znacznie ciszej.

Wiem, że ma rację. To naprawdę jest rozsądne. Dzięki niemu nie muszę dźwigać dodatkowego ciężaru i chyba powinnam być mu za to wdzięczna, dlatego kiwam lekko głową i siadam na fotelu, obserwując, jak mama wciąż trzyma się go kurczowo, jakby był jej ostatnią deską ratunku. Gdy w końcu oboje zajmują miejsca na kanapie, spojrzenie byłego narzeczonego natychmiast ląduje na mnie.

– Gdzie wydarzył się wypadek? – pytam z trudem. Nie mam nawet pojęcia, gdzie Alice podziewała się przez miniony rok, ale teraz muszę to wiedzieć.

– W Kolorado, ale...

– Nie musiało do tego dojść... – przerywa mu mama. – Przecież ona mogła żyć... Dlaczego im po prostu nie wybaczyłeś?

William, słysząc to, tężeje i zaciska szczęki. Mam nadzieję, że czuje wyrzuty sumienia. To takie małostkowe z mojej strony, że w obliczu ogromnej tragedii ja wciąż nie potrafię przestać myśleć o tym, że mój narzeczonny i moja siostra mnie zdradzili. I nagle dochodzi do mnie, że być może on... tęskni za Alice.

Wybrał ją, nawet jeśli tylko na chwilę.

Alice była jego świadomym wyborem.

– Wren – odzywa się w końcu Will. – Zostaw Ash w spokoju. Proszę. To niczego nie zmieni. To nie jej wina, tylko... – spogląda mi w oczy, szukając w nich zrozumienia – ...moja.

Kiedy to słyszę, zaczynam pospiesznie mrugać, bo nieoczekiwanie w moich oczach wzbierają łzy. Will biorący na siebie winę to coś nowego. Na tyle niespodziewanego, że wręcz absurdalnego. A teraz patrzy na mnie wzrokiem przepełnionym żalem i bierze na siebie ten cholerny ciężar, którym moja matka próbuje obarczyć mnie. Powinnam poczuć się wobec tego źzej, ale... wcale tak nie jest. Wręcz przeciwnie. Zapadam się w tym

cholernym fotelu jeszcze bardziej i jedyne, o czym marzę, to by zniknąć. Spojrzenie Williama pali każdy skrawek mojej skóry, a matka skulona tuż przy nim to coś, na co nie chcę patrzeć, bo znów czuję się zdradzona.

Potrząsam głową, by wyrzucić z niej wszystkie niepotrzebne myśli, po czym wstaję. Nie wytrzymam tu ani minuty dłużej.

– Will, ja... – głos mi się łamie – ...chyba...

– Idź. – Kiwa głową ze zrozumieniem. – Ja się nią zajmę.

Nie wiem, czy kiedykolwiek byłam mu bardziej wdzięczna niż w tej chwili. Nie mam siły na opiekę nad matką, nie po tym, jak powiedziała, że to ja jestem winna wszystkiemu, choć... ja wcale nie czuję, żebym była. Czy to znaczy, że jestem złym człowiekiem? Nie mogę wziąć odpowiedzialności za śmierć Alice. Nie mogę i nie chcę, bo to mnie zniszczy. Może nie dziś ani nie jutro, ale kiedyś na pewno. Dlatego muszę stąd jak najszybciej uciec.

Posyłam Williamowi wymuszony uśmiech i ruszam do drzwi.

– Ashling... – Zatrzymuje mnie jego ciepły głos. – Zajmę się wszystkim – zapewnia.

Nie odwracam się. Stoję, wpatrując się w dłoń, którą zaciskam na klamce, i zastanawiam się nad sensem jego słów. Dziś brzmią jak to, co naprawdę potrzebowałam usłyszeć.

Zanim zmienię zdanie, wychodzę.



Ponieważ u Bell jest znacznie mniej miejsca, a dziewczyny uparły się, że nie spuszcza mnie z oka, przeniosłyśmy się do mnie.

– Nie możesz mu ufać – stwierdza stanowczo Bell, siadając na podłodze. W jej głosie dominuje determinacja. – Ash, na Boga, wiem, że to naprawdę paskudny czas, ale Will nie może znów cię wykorzystać. Nie teraz...

– Wyjątkowo zgadzam się z Bell – wtrąca Trini znad porannej kawy.

Wciąż nie mogę uwierzyć, że rzuciła dla mnie wszystko i przyjechała do Seattle. Posyłam jej lekki uśmiech i sięgam po swój kubek. Kawa już dawno zrobiła się zimna, ale dziś mi to nie przeszkadza. Upijam mały łyk

i zmieniam pozycję; siadam po turecku. Pozwalam myślom przez chwilę swobodnie wędrować po mojej głowie. To cudowne, gdy mam pewność, że żadna z moich przyjaciółek mnie nie ocenia.

Spędzamy tak godzinę. Bell powinna być w pracy dopiero wieczorem, chociaż ciągle sprawdza telefon, licząc, że przystojny Ford Jackson wysłał jej już maila z gratulacjami, jakoby właśnie dołączyła do jego zespołu i może rzucić pracę w barze. Trini ma tydzień wolnego, więc również się nigdzie nie spieszy, a w księgarni jest teraz Melody.

– Kiedy pogrzeb? – pyta Trini.

– Nie wiem – przyznaję, krzywiąc się lekko.

– O nie! – Bell posyła mi surowe spojrzenie, czytając mi chyba w myślach. – Nie waż się o to obwiniać!

– Ja... nie... – kręcę głową – po prostu...

– Ash, skoro Will zaoferował pomoc twojej matce, to... cóż, świetnie – stwierdza, jakby to było takie proste. – To też twoja żałoba. Bądź samolubna. Przeżyj ją tak, jak tego potrzebujesz. Ty. Nikt inny.

– Chyba oszalałam, ale ponownie zgadzam się z Bell – wtrąca Trini, po czym idzie po kolejną kawę.

Bell za to wciąż siedzi obok mnie i czuję, że chce dodać coś jeszcze, ale tego nie robi, ponieważ z całą pewnością byłoby to coś niestosownego. Zamiast tego, podobnie jak ja, śledzi każdy ruch Trini, która postanowiła chyba wziąć się też za przygotowanie śniadania. Otwiera kuchenne szafki, ale jej głośne westchnienia świadczą o tym, że nie znajduje niczego, co by ją zadowoliło.

– Skocz do tego sklepu na dole – mamrocze. – Ash, nie masz w domu żadnego jedzenia.

W chwili, w której Trini zamyka za sobą drzwi, mój telefon zaczyna dzwonić. Bell okazuje się jednak szybsza niż ja i pierwsza po niego sięga.

– Kto to? – pytam.

– Twoja mama.

Podaje mi komórkę. Waham się przez chwilę, ale w końcu odbieram.

– Tak?

– To ja – odzywa się William. – Wybacz, ale bateria mi padła...
Opieram głowę o ścianę i przysmykam powieki.

– O co chodzi?

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że już wszystko załatwione. Pogrzeb... –
wzdycha ciężko. – Pogrzeb odbędzie się za dwa dni. Ash... Cholera, nie
wiem, co mógłbym jeszcze zrobić, by ci ulżyć. Pozwól mi sobie pomóc.
Chcę być przy tobie.

Nastaje cisza, której nie potrafię przerwać. Słucham, jak Will oddycha
ciężko, i momentalnie do oczu napływają mi łzy. Nie mam pojęcia, czy
płaczę nad śmiercią Alice, czy może nad tym, co wydarzyło się wcześniej.
A może nad własnym życiem, które zaczynam rozumieć dopiero teraz.
Dzieciństwo, dorastanie, związek z Williamem i jego zdrada. Dziś jedynym
pewniakiem w moim życiu są Bell i Trini.

– Jak... – biorę głęboki oddech – ...jak mama?

– Śpi. Przyjechała tu też moja matka. Mam nadzieję, że nie masz nic
przeciwno.

– Nie wiem, Will – przyznaję niechętnie. – Naprawdę nie wiem. Ale
chyba nie, bo ja nie potrafię być teraz przy niej. Chcę, ale nie umiem.

William wzdycha.

– To nie jest twoja wina, Ash. Alice sama wybrała drogę, którą chciała
podać.

Otwieram oczy i zerkam na Bell. Jej zmarszczone czoło świadczy o tym,
że nie jest zadowolona z tego, że rozmawiam z Williamem, jednak mimo
wszystko mi nie przerywa.

– Wiem, że to... cholera, rozumiem, że nie chcesz mnie widzieć, ale
jestem tu dla ciebie, kochanie. I zrobię wszystko, by ten czas był dla cie-
bie... Po prostu chcę ci pomóc. Tobie i twojej mamie. Jestem ci to winien.

Żadna odpowiedź nie przychodzi mi do głowy. William brzmi szczerze,
ale ja chyba nie chcę mu wierzyć. I nie chcę mu zaufać, zwłaszcza teraz,
gdy jestem słaba.

Do oczu napływa mi jeszcze więcej łez, a Bell, widząc to, natychmiast wyrywa mi telefon i przykłada go sobie do ucha.

– Masz czelność dzwonić do niej po tym wszystkim, ty złamasie?! – warczy wkurzona. Mogę sobie tylko wyobrazić jego minę. – Wsadź sobie gdzieś tę troskę o jej dobro! Od tego ma mnie i Trini! Chryste, jesteś takim kutasem, Will!

Bell z zaciętą miną słucha tego, co mój były ma jej do powiedzenia. Chyba jeszcze nigdy nie zamienili ze sobą aż tylu zdań, co podczas tej rozmowy. Zazwyczaj w swoim towarzystwie po prostu milczeli albo rzucali sobie mało przyjazne spojrzenia.

– Kurwa, jak ja cię nienawidzę! – Rozłącza się i już po chwili na jej twarzy pojawia się lekki uśmiech. Zdaje się, że obrzucenie kogoś błotem poprawiło jej humor. – Wybacz, zawsze chciałam mu to powiedzieć.

– Co takiego?! – woła Trini, która właśnie wchodzi do mieszkania. Ma ze sobą trzy torby pełne jedzenia i z trudem udaje jej się zamknąć drzwi. – I komu?

– Złamas dzwonił – informuje ją Bell. – Trochę mu nagadałam.

– Trochę... – mamroczę pod nosem, ale żadna z nich nie zwraca na mnie uwagi.

Trini wyjmuje zakupy, a Bell podchodzi do niej, by pomóc. Mam cholerne szczęście, że są tu ze mną.

Wieczorem kładę się do łóżka, wcześniej pozbywszy się przyjaciółek z mojego mieszkania. Kocham je, ale dziś potrzebuję przestrzeni, dlatego poprosiłam, by przenocowały u Bell.

Samotność tej nocy brzmi zaskakująco dobrze. Staram się nie myśleć o niczym. Chcę jedynie zasnąć, a rano zastanowię się, co dalej.

Gdy niemal odpływam, wybudza mnie dźwięk telefonu. Wydaje się bardziej uporczywy niż zazwyczaj, dlatego pospiesznie odbieram.

– Tak? – mamroczę nieco sennie.

Wdech.

Wydech.

– Kto mówi?